

Teresa Roszkowska 1992 w 46

ARCHITEKTURA MGŁY

AGNIESZKA OSIECKA

Paniom i panom z Saskiej Kępy

Bandyci mordują starych artystów, ponieważ myślą, że artyści coś posiadają. Tymczasem artyści niczego nie mają, w każdym razie niczego takiego, co mogłoby się przydać bandytom. Na widok tego niczego, na widok girlandy zeszlorocznych liści, bandzior zadaje drugi cios – już ze złości, już z rozżalenia nład samym sobą. Jak powiedział pewien lokaj: „Księżna pani lubiła bezy. Tfy, ohyda”. Jak wiadomo bezy są puste w środku, a śladu tęczy na posadzce nie można niestety złowić, zjeść ani sprzedać.

MAM NADZIEJĘ, że Teresa Roszkowska popatrzyła w twarz swego oprawcy z pogardą. To znaczy: wszystko mi jedno, czy była to jego kaprawa twarz, maska, czy skarpeta... W każdym razie, kiedy zadano trzeci cios, dama spojrziała pożegnalnie w złociste oczy swoich kotów, a potem, mimochodem, już pół we śnie, już odpywając, dostrzegła spanikowanego pysk mordercy, i gdzieś na dnie oguszającej czerwieni usłyszała starą melodię gdzieś stamtąd, z jej stron, spod Kijowa:

„Patrzę na ciebie włóczęgo z wysokości moich białych dłoni i z wyżyn moich słów niepojętych, a ty bredź, ty się włóczę, ty żyj pospolicie... jeżeli to jest życie...”

Potem już pani Teresa upadła zapewne, i zapewne jej olbrzymie złote kolczyki zabręczały cicho jak dzwoneczki, jak jedyna sygnaturka, która była pod ręką. A może to nie były kolczyki, tylko klipsy? I może jedno lśniące koło urwało się w przerażeniu i potoczyło się przed saskokępski domek usiany zielonymi listkami, i któregoś dnia spotkamy je jeszcze w zalotnym dziobie sasko-kępskiej sroki?

FIGURYNKA

Filigranowa, smągła, aż prawie brązowa i dalekowschodnia, z owymi złocistymi kołami w uszach, z kokiem, z ozdobną szpilą, albo w aksamitnym berecie, z pekińczykiem na smyczce – Teresa

Roszkowska od niepamiętnych lat była perłą w koronie swej ślicznej dzielnicy. Mieszkała na Obrońców, w takim ni to domku, ni to willi wspartej na kamiennych schodkach i ozdobionej kamiennymi fintifluzkami. Owe domki-wille stanowią coś w rodzaju naszej starówki, pochodzą z dwudziestego siódmego roku, i wciąż pielęgnują w ogródkach hortensje i róże posadzone przez naszych dziadków. Może to są zresztą prawnuczki tamtych hortensji, nieważne. Ale ważne, że na stryżkach poniewierają się z godnością stare roczniki „Wiadomości Literackich”, a na parapetach wylegają się dystyngowane koty. Na progu pani Teresy wciąż jeszcze stoją miseczki jej zwierząt, a my, sąsiedzi, wciąż widzimy, że miski są puste. Może zwierzęta uciekły, może kryją się po piwnicach przerażone widokiem ludzi?

Trzeba pamiętać, że pani w złotych zausznicach, kiedy pochylała się nad główką swego secesyjnego pekińczyka, sama wyglądała jak frasołliwa lilia. Trzeba pamiętać, że należała do tych malarzy, którzy projektują nie tylko wnętrza, scenografie i kostiumy innych ludzi, ale projektują też samych siebie. Patrząc z perspektywy pekińczyka, trudno będzie przyzwyczaić się do banału!

Dziwne jest jednak i to – a minął już dobry tydzień – że w ogródku Pani Teresy nie słychać jakoś ptaków. A przecież w mojej topoli ptaki szumią jeszcze burzliwie i potrząsają liśćmi jak olbrzymią chmurą pełną monet. Czyżby na Obrońców trwało coś w rodzaju niemego nabożeństwa? Czy to są długie, potajemne obchody na śmierć piękna?...

ARCHITEKTURA BEZ POLITYKI

Saska Kępa (dawniej Kawcza Kępa), to jest architektura żartu i mgły. W czasie jesiennych i wiosennych spacerków nieodparcie nasuwa się skojarzenie z książką „Tajemniczy Ogród”. Idzie się na przykład wysadzana topolami uliczką, mijają się malwy sterczące pośrodku chodnika, mijają się leniwe gawrony i listonosza, który wszystkich zna, i forda z trzydziestego roku, który wзира spód starej kapy – mijają się tedy te obrazki, przymglone jak na starej kliszy – i myśli

się w duchu, że to już jest wszystko. A właśnie, że nieprawda! Bo niejako „na plecach” tej uliczki dobudowana jest druga podobna uliczka, tyle że jarzębinowa na przykład, lub akacja. Na tej uliczce też stoją kamienne wille z fintifluzkami, albo – wprost przeciwnie – domy gołe, kanciaste i sztywne (to nasza moderna!) – i żeby było trudniej zgadnąć – obie uliczki nazywają się tak samo.

Po tych uliczkach już od dziesiątej rano paradują znajome postaci. Oto zbliża się godnie syn Pani Nowakowej – filmowiec. Zdobi go rozrzedzona i szalona czupryna, która porusza się jakby oddzielnie, jakby żyła własnym życiem. Najpierw więc, niczym paradna chmurka skowronków nadciąga owa czupryna, a tuż za nią wynurza się z mgły oblicze Krzysztofa nacechowane głębokim sceptycyzmem. Sceptycyzm ów dotyczy wszystkiego – świata, ludzi, zwierząt, a przede wszystkim filmu. Na szczęście w ślad za owym krocącym posągami niezgody nadciąga błada i arystokratyczna żona Małgosia, która od lat próbuje wyciągnąć z Krzysztofa przyzwolenie na istnienie ludzkości, a przynajmniej – Saskiej Kępy.

Około południa, kiedy koty zaczynają prosić o drugie śniadanie, mieszkańcy Saskiej Kępy mają już dość krzątaniny i zaczynają rozglądać się za kawiarnią. Wiosną mniej się chodzi na kawę, więcej siedzi się w ogródkach. Ja na przykład w maju brnę na Kryniczną. Najpierw kaleczę sobie rączki o zepsutą furtkę, daję się pogryźć histerycznej spanielicy i hyc – już jestem na rozległym tarasie skapanym w słońcu i w dyskretnym bałaganie. Na przedwojennym leżaku spoczywa niczym senna angora – inny Krzyś, radiowiec i znawca duszy ludzkiej – Krzyś Skowroński, syn mojej koleżanki szkolnej Basi, i o zgrozo, wnuk mojej nauczycielki historii. Obok leżaka przypominającego chudą żyrafę, wśród ptaszęcych budek i psich misek, płasza rudowłosa Monika z kruchymi ciasteczkami na kuszącym meissenie: obudź się Krzysiu, dochodzi pierwsza!

Dosyć tego, wracam do domu, pora napisać wierszyk. Na balkonie, wśród młodych nasturcji, moja mama próbuje nakarmić gapowatego gołębia łyżką...

W tych wszystkich domach i willach stoją skromne antyki po babciach i dzie-

dkach, walają się zdjęcia z początku wieku, a rolę solidnego mebla pełnią szafy i tapczany kupione przez naszych rodziców w latach pięćdziesiątych. Na tapczanach leżą pomarańczowe koce w kratę, w karafkach nudzi się nalewka, a stary numer „National Geographic” pod zlewem przypomina nam, że my też, gdzieś, kiedyś, daleko, byliśmy.

Parę dni temu przechodziłam pod domkiem Teresy Roszkowskiej, kiedy akurat wywożono jej dobytek. Mignęły mi w kadrach takie właśnie stare, kraciaste koce. Dawno nic sobie nie kupowała, ta dziwaczka! Ba, ale ona „wszystko miała”...

To też jest cecha Saskiej Kępy. Po cóż kupować nowe rzeczy, kiedy stare są jeszcze dobre??? Ludzie dziś myślą, że kupowanie to jest komfort. Nieprawda. Komfortem jest niekupowanie. Komfortem jest też dekadenska niechlujność tych ogródków, tarasów i polamanych furtek. Na nielicznych tylko oknach widać kraty, a co drugie drzwi można otworzyć patykami. Przynajmniej: tak zawsze było. Może teraz, od czasu tej przesmutnej śmierci będzie inaczej. Może zaczniemy się zamykać? Może zaczniemy budować domy – bunkry, jak ludzie z tamtej strony rzeki? Może w ogóle zrobimy coś praktycznego i na przykład wytniemy dziłki bez???
...Ach, te bzy saskokępskie, te bzy, które podawały sobie krople nad moją głowę, kiedy biegłam do szkoły, te bzy, które taszczyły się na randkę, i do szpitala, i na cmentarz – dokąd one pójdą nieboraki?

ARCHITEKTURA Z POLITYKĄ I EKONOMIĄ

Mój sąsiad i przyjaciel powiada, że Saska Kępa umierała trzy razy, i za każdym razem jakoś się odradzała. Pierwsza to była „Saska Kępa wiejska”. O, ja ją pamiętam jeszcze, tę naszą pół-wiejskość. Był taki na przykład pan z kozami, który nadciągał gdzieś od strony dzisiejszego kina „Sawa” i paradował z nimi samym środkiem Francuskiej. Był taki, co wołał „raki raki raki” i był taki, co wołał „do reperacji, do lutowania – blacharz lutuje, reperujeeee”. Ale to już były resztki, remanenty po wieku dziewiętnastym. Tę nadszarpnęła solidnie hossa budowlana lat dwudziestych i trzydziestych.

W owych to latach wprowadziły się na Kępę rodziny oficerów i adwokatów, rodziny ambitnych urzędników i trochę biednawych ziemian. Środowisko to budowało niezbyt drogo, ale przepięknie. Z tych czasów pochodzą prostokątne, klockowate domy „à la Corbusier”, śliczne wille-oranżerie ulicy Katowickiej i porządne kamieniczki z Francuskiej, udające wielkie miasto. Nazwijmy to wszystko Saską Kępą przedwojenną, pa-

chnącą podwieczorkiem, panem mecenasem, czystym podlotkiem i nowym packardem.

Saskiej Kępie z lat hossy pierwsze ciosy zadała wojna. Ziemianie uciekli, oficerowie zginęli, podlotki odfrunęły do ciepłych krajów. Wciąż jednak zostało jeszcze to coś, co włości się do dziś po starych ogródkach: odrobina dekadenskiego wdzięku, zapach mocnej kawy i pozbawiona ostentacji sympatia dla starych zasad. Te stare zasady były solą w oku stalinowców i przyczyną ustawicznych plotek. Po referendum 1946 roku mówiono na przykład, że nas wszystkich wysiedlą, bośmy głosowali trzy razy „nie” (w to wierzyła moja mama), a po pięćdziesiątym, że dzieciom z Kępy nie będzie wolno chodzić do gimnazjum (to mnie się bardzo podobało). Poprzestano w końcu na dobudowaniu na obrzeżach kilku nowych osiedli (tak zwane Chamo-wo), na co nikt nie zwrócił większej uwagi.

W kapitalizm – ten nowy – Kępa też wtoczyła się stosunkowo bezboleśnie. Ot, tyle że sklep „Krysienka” przemianowano na „York”, że dociera tu szum i zgiełk rosyjskiego bazaru i że starzejemy się powolutku i ładnie, „jak liście. Nic w tym złego, prawda?

CYGANERIA DOKARMIA

Kiedy zamordowali Teresę Roszkowską powiedziałam jednak: „Teraz Saska Kępa umarła naprawdę”. Cała „Podhalańska” spojrziała na mnie ironicznie. Miasta i ulice nie giną tak łatwo jak kruche staruszki i wiotcy staruszkowie. Pamięta pani tego krawca na rogu? Zadzgał go, ucieli mu głowę, głowa toczyła się jak brukiew, ale krew zmyto, a ulica żyje.

Smutne: czy gawiedz musi nienawidzić księcia, kiedy w swojej wciąż białej koszuli jedzie na szafot? Bóg to raczej wiedzieć, może i musi, świat zawsze brzydził się innymi, ale i korzystał z nich. O, z Teresy Roszkowskiej korzystali ludzie i zwierzęta! Sama jadła ponoć jak ptaszek, ale dokarmiała wszystko i wszystkich. Psy, koty, gołębie, sroczki, wróble – oto jej klientela. Jako karmicielka Pani Teresa uprawiała swoistą białą magię, nie znosiła marnowania jedzenia. Koty jadły po psach, psy po kotach. Nie ma sensu marnować ziarna, które może tylko zmienić miejsce, nie ma sensu przecinać ogólnego krwioobiegu! Dopiero co zadzwoniła do mnie pani Konarzewska, dawna asystentka i wierna przyjaciółka artystki: czy chcę dostać pelargonie pani Teresy? Naturalnie, że chcę, bardzo chcę, niech piją z mojego garnuszka. Żyjmy sobie.

Między mieszczanstwem a bohemą panoszy się ważne nieporozumienie co do

wartości peleryny. Mieszczanin uważa, że stara peleryna jest brzydka, bo brudna i poplamiona. Artysta uważa, że ta sama peleryna jest przepiękna, bo egzotyczne plamy nadały jej odcień głębokiej zieleni.

ZBAWCZY CHŁÓD

Scenografie i kostiumy Teresy Roszkowskiej też nie zawsze były „po drodze” powszechnym gustom. Te przedwojenne wydają mi się na przykład zbyt lodowate. Może zresztą cały monumentalny teatr ówczesny – teatr Pronaszk i Daszewskiego – przypomina dziś trochę kwadratowe Tatry, a kubistyczni górale są podszyci Stryjeńską i drewnianą szkatułką z Cepelii. Przeglądałam tedy stary album i ciut mnie mrozą stateczne łuki, groźne firmamenty i stateczne kolumnady pani Teresy: mam na myśli „Judytę” z trzydziestego siódmego roku i „Obronę Ksantypy” z trzydziestego ósmego. Wydaje się, że po wojnie pani Teresa nieco się rozfiglowała. Kostiumy Karla i Sforki z Horsztyńskiego, to istna heca, zaś namiot świętej Joanny (też ze sztuki Shawa), wsparty na wiotkich prętach, odznacza się wręcz pewną dystynkcją. Tancerze z „Romea i Julii” sarkali, że kostiumy były za ciężkie, zaś Nina Andrycz wspomina ze smutnym rozbawieniem kapelusze królowej Elżbiety Pierwszej („to był właściwie kapelutek, rodzaj cylinderka”). Basia Dziekan powiada: „Pani Roszkowska uważała, że nie umiemy chodzić. Myślała, że kiedy kostium będzie ciężki, zmusi nas po prostu do elegancji”. Izabela Konarzewska ujmuje to najprościej: „We wszystkim co robiła, cechowała ją wielka solidność. Planowała na rysunkach nawet pozę dla fotografa”.

Ba! Ja patrzyłam przez te wszystkie lata na panią Teresę przede wszystkim jako sąsiadka. I co mnie pociągało w tych stosunkach, których prawie wcale nie było, to ich dyskretna elegancja, powściągliwość właśnie. Całkowite zaprzeczenie totumfackich rozmówek z klatki schodowej w stylu „co tam u pani, moja pani”. Wprost przeciwnie, wystarczał ukłon: wiosną wylewny, jakby japoński, zimą chłodny, angielski, przypominający raczej skinienie głowy – tej głowy osłoniętej naturalnie napoleońskim beretem. Tylko w uśmiechu – równie dyskretnym – błąkała się dobroć. Gospośia pani Teresy, ta która pamięta jeszcze jej mamę, mawiała zawsze: „O, starsza pani to strasznie była surowa. Ani ustąpić, ani coś wynieść. Dopiero kiedy ta młoda do domu przyszła, to się robiło weselej”.

Przez parę dni po śmierci pani Teresy ktoś przyczepiał kwiatki do jej furtki i ktoś zapalał świeczki. I bardzo dobrze, pora chronić róże, kiedy płoną lasy.